

Stefan Kieniewicz

Charakter narodowy : rzeczywistość czy stereotyp?

Komunikaty Mazursko-Warmińskie nr 3, 521-527

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Stefan Kieniewicz

Charakter narodowy. Rzeczywistość czy stereotyp?

Występuję przed Państwem nieśmiało z wypracowaniem domowym, którego sam nie zaplanowałem, ale które zostało u mnie zamówione przez organizatorów sesji. Nie wyrosło więc ono z wcześniejszych moich badań, z potrzeby podzielenia się własnymi ustaleniami, ale z chęci wygodzenia życzeniom, z nadziei, że te rozważania pożytecznie zagają dzisiejszą dyskusję. Wcale zatem nie jestem pewien, na ile się przyda to, co powiem. Zawsze jednak serdecznie dziękuję organizatorom spotkania, że zechcieli się do mnie zwrócić i okazali mi jakieś quantum zaufania.

Kiedy zacząłem zastanawiać się nad tytułem, czy tematem sesji o „charakterze narodowym polskim”, sięgnąłem do encyklopedii pod hasło „charakter” i znalazłem, co następuje: „Zespół stałych nawyków, postaw i ideałów, które pozwalają przewidzieć zachowanie się jednostki”. Pomyślałem sobie: jakież to dziecinnie proste określenie niesamowicie złożonego zjawiska! Jak bowiem funkcjonuje owo „zachowanie się” jednostki, jak mało o nim wiemy! A cóż dopiero mówić o zbiorowisku jednostek — wolałbym mówić co prawda o zbiorowisku osób, czy osobowości. Czy wolno nam zakładać, że zespół owych „nawyków, postaw i ideałów” jest tożsamy, albo prawie, czy też przeważnie tożsamy dla wszystkich, lub prawie wszystkich członków narodu? Zachowania się prywatnej jednostki (osoby) nie zawsze umiemy przewidzieć — czyżbyśmy mieli uwierzyć prawu wielkich liczb, a więc temu, że 30 milionów Polaków zachowywać się będzie w określonych okolicznościach zawsze, lub prawie zawsze jednakowo?

Jesteśmy, co więcej, historykami, problem polskiego charakteru narodowego musimy więc ujmować historycznie, uwzględniając wszystkich Polaków, jacy kiedykolwiek żyli, oraz to, co da się powiedzieć o ich charakterze. Tu się rodzi następna wątpliwość: których rodaków z przeszłości mamy poddawać badaniu i obserwacji? Czy wszystkich, którzy kiedykolwiek zamieszkiwali w Polsce? Wszystkich, którzy dziś i kiedyś mówili po polsku? Czy też wszystkich, którzy dziś i kiedyś uważali się, lub byli uważani za Polaków? Wicie Państwo przecie, że te określenia nie są równoważne. Było wszak mnóstwo ludzi — chociażby w XIX wieku — którzy mówili po polsku, a za Polaków nie bardzo się uważali. Jakież był charakter narodowy?

Socjologowi ta sprawa może wydawać się prostsza, socjolodzy umieją posługiwać się testowaniem różnych grup respondentów (najchętniej i najłatwiej własnych studentów) i osiągają nawet jednorodne wyniki. Wszakże rezultaty

owych testów budzą sceptycyzm historyka. Zastanówmy się bowiem: drużynnicy Bolesława Chrobrego; wolni obywatele Rzeczypospolitej Obojga Narodów; patrioci XIX wieku (czerwoni i biali) czyżby ich wszystkich cechował ten sam zestaw „nawyków, postaw i ideałów”, co dzisiejszych studentów i niestudentów? Może się nam wydawać, że tak właśnie jest, albo bywa. Ale jeśli się nam wydaje, że nasi przodkowie czuli i zachowywali się podobnie, jak my, czy to złudzenie nie bierze się stąd, że nasze dzisiejsze postawy rzutujemy wstecz, że różne cechy naszego dzisiejszego charakteru narodowego przypisujemy dowolnie naszym przodkom niedawnym i dawniejszym. Wreszcie sprawa ostatnia; nie sami jedni mieszkamy na tej planecie. Zastanawiając się nad własnym charakterem narodowym musimy też pamiętać o charakterach innych. Potoczna obserwacja nasuwa nam od razu spostrzeżenie, że mieszkańcy innych krajów różnią się między sobą zewnętrznym wyglądem, mową, zachowaniem, obyczajem — to już zauważył Herodot. Ale z chwilą, gdy zapoznamy się bliżej z którymkolwiek obcym społeczeństwem, zauważymy, że owe cudzoziemskie zespoły zachowań, pozorna ich powszechność i niezmienność, nasuwają podobne wątpliwości, co w przypadku nas samych...

Oto więc były refleksje, jakie nasunął mi proponowany temat referatu. Wysnułem z nich następującą konkluzję: iż mianowicie nie dostrzegłem do tej pory takiej metody naukowej, która by umiała udowodnić, że ogół lub większość członków jednego narodu odznacza się tymi samymi (lub prawie tymi samymi) cechami charakteru, i to w dodatku cechami niezmiennymi na przestrzeni wieków. Właściwie to sceptyczne zagajenie mogłoby zamknąć moją dzisiejszą wypowiedź, ale mimo wszystko nie byłoby to chyba słuszne. Albowiem niezależnie od tego, czy jesteśmy przekonani, czy też nie, o istnieniu charakteru narodowego, sadzę, że warto się tym charakterem zajmować w sposób naukowy. A to dlatego, że przekonanie owo o istnieniu charakteru narodowego (charakterów narodowych) — jest szeroko rozpowszechnione; samo zaś to przekonanie stanowi ważny czynnik w dziejach naszych, i nie tylko naszych.

Wchodzą więc w grę, jako przedmioty badań, nie tyle obiektywne cechy charakteru, niemożliwe do ustalenia, co funkcjonujące w świadomości narodu naszego i innych narodów stereotypowe sądy o takim czy innym naszym charakterze. Stereotypy te rodzą się zarówno z samooceny, jak i z ocen narodów sąsiednich. Jak wiadomo, nie tylko w Polsce takie stereotypy funkcjonują. Przed wojną modną była uczona i zawila książka Kayserlinga *Analiza spektralna Europy*, usiłująca poddać rozbiorowi charakterystyczne cechy niektórych narodów europejskich. Włoch Luigi Barzini wydał niedawno podobną, płytszą, ale bardzo dowcipną książkę *Europejczycy*. Znajdują się tam sylwetki niewzruszonego Brytyjczyka, niestałego i nieobliczonego Niemca, kłótliwego Francuza, ostrożnego Holendra itd. itd. Wszystko to są daleko idące uproszczenia i uogólnienia. Z lat dzieciennych pamiętam piosenkę, którą śpiewały dziewczęta o tym, jakiej narodowości chłopcy lepiej całują. Były tam też różne zwrotki: „bo Francuz gorący, całuje stojący — — bo Anglik flegmatyk, całuje jak patyk” itd. Oczywiście autor piosenki zamierzał udowodnić, że właśnie polski chłopiec jest najprzyjemniejszy w tej funkcji — zaś intencja ta spełniać miała określoną rolę w kształtowaniu świadomości narodowej naszego społeczeństwa.

Te i podobne stereotypy cudzoziemców może i opierają się na powierzchownych spostrzeżeniach, ale przecież są uproszczeniami. Samooceny narodowe bywają pochlebniejsze, ale i one bywają kwestionowane nie tylko przez cudzoziemców, ale i we własnym narodzie. Spójrzmy na sławny typ Anglika-gentelmana, ideał wytworzony w elitarnej public school angielskiej: jak się on przedstawia w literaturze przełomu stuleci. Idealizuje go Kipling, przedrwiwa Bernard Shaw — niezależnie od tego, czy jest to komedia współczesna, czy sztuka historyczna, *Cezar i Kleopatra*, *Święta Joanna*, bo i tam występują zabawni gentelmani, wiodący ród prosto z Oxfordu. Albo Francuzi, stanowiący bardzo szczególny aliaż nacjonalistyczny — skrzętnego ciułacza — odrobinę świntucha — i zapalonego deklamatora, konglomerat niełatwy do rozszfrowania. Jak ostro demaskuje owego francuskiego bourgeois powieść Aragona! A pruski Übermensch, skontrastowany z dawniejszym stereotypem sentymentalnego filozofa, albo kantysty, albo znów Werthera. Tego zaś Übermenscha demaskowali z kolei bracia Mann. Można by snuć i dalej te analogie i kontrasty.

Czy istnieje, czy można się dopatrzeć jakiejś specyficznej cechy naszego własnego autoportretu? Czym się może różnić jakościowo od stereotypów innych Europejczyków? Myślę, że się różni o tyle, na ile nasze losy w wiekach XIX i XX były odmienne od losów wielu zamożnych i możnych krajów Europy. Sądzę, że rozbiory i stulecie niewoli wpłynęły nie tyle na nasz charakter narodowy, ile na to, co my sami o tym charakterze sądzimy i głosimy. Gdzie indziej bowiem autoportret narodowy służył przeważnie samoafirmacji, gloryfikacji, uzasadnieniu własnej wyższości, czy własnej jedności. U nas Polaków ten autoportret pełnić miał inną funkcję. W narodzie, któremu się nie bardzo powodziło w ciągu kilku pokoleń, autorytet służył nade wszystko celom dydaktycznym. Służył im zaś dwojako, w wersji pozytywnej i negatywnej. Pozytywny wzorzec, to Polak patriota, ofiarny bohater, indywidualista niepokorny, dający sobie radę w najtrudniejszej sytuacji, a jednak umiejący przetrwać i wciąż aspirujący do zrzucenia więzów. Ten to wzorzec miał być przykładem dla szerokich rzesz „pospolitaków”, a nawet dla tych ludzi, którzy jeszcze nie bardzo zdawali sobie sprawę z tego, że są Polakami. Lecz równocześnie w naszym wewnętrznym obiegu funkcjonował także wzorzec negatywny: Polaka niewytrwałego („słomiany ogień” polski), Polaka zawistnego („kundlizm” Melchiora Wańkowicza), Polaka beznadziejnie naiwnego („chciejstwo” według określenia tegoż Wańkowicza). I dalej jeszcze powiedzonko Kochanowskiego: „Polak i po szkodzie głupi” oraz inne z czasów napoleońskich „saoul comme un Polonais” — to ostatnie, wciąż aktualne niestety. Te zbitki negatywne powinny być z kolei odstraszać obywateli rodaków, uczyć ich, że trzeba zerwać ze złymi wzorami, odpokutować i poprawić się. Oba wzorce, ten pozytywny i ten negatywny, winny były, jak się Słowacki wyraził, „zjadaczy chleba w aniołów przerobić”, innymi słowy, uczynić z nas twórcę godniejszy, zdolny do samodzielnego bytu.

Niezależnie od uogólniającego wzorca Polaka „w ogóle” były jednakże w obiegu (mam na myśli lepiej mi znany wiek XIX) wzorce bardziej szczegółowe. Nie odnosiły się one do całego narodu, lecz charakteryzowały poszczególne grupy społeczne, rzekomo wyposażone w wyróżniające cechy. Tak więc w okresie walk o niepodległość wzorzec żołnierza polskiego narzucał się patriotycznej

wyobraźni. W czasach napoleońskich i powstania listopadowego był to wzorzec oficerski (nie żołnierski!): „Amaranty zapięte pod szyję...” Wojak jedyny do wybitki i do wypitki, do tańca i do różańca, bohater brzękający ostrogami w takt piosenki *Jeszcze jeden mazur dzisiaj*, świetnie prezentujący się i podbijający serca. Bliski mu, choć nie koniecznie umundurowany, raczej cywilny, ale nie mniej zamaszysty, to Gucio ze *Ślubów panińskich*, także podbijający serca; gospodarujący lepiej-gorzej na swoim folwarku, ale też gotów w każdej chwili skoczyć na koń, a wtedy hajda! od razu Samosierra... Inne wzorce: ten, od którego być może należało zacząć, wzorzec starszslachecki, który na dobrą sprawę skryształizował się dopiero w wieku XIX, pod piórem Henryka Rzewuskiego, w *Pamiętkach Soplicy*. Usiłował on transponować na czasy niewoli ideał dawny, jeszcze przedrozbiorowy, sarmacki, ideał więc przebrzmiały, ale który przeciwstawiano „nowinkom”. Przypomnijmy *Listopad* Rzewuskiego i *Mohorta* Pola. Mamy tu kult starego, patriarchalnego obyczaju, zewnętrzną dewocję, trwanie przy stanowych przywilejach, negację obcej mody i obcych innowacji. Przeszłość szlachecka, sztucznie idealizowana, miała być siedliskiem wszelkiej cnoty i jedynym gwarantem utrzymania tego, co najistotniejsze, tj. polskości.

Temu staropolskiemu, powiedzmy ściślej: starszslacheckiemu obyczajowi przeciwstawia się wzorzec demokratyczny, skonkretyzowany po powstaniu listopadowym na Wielkiej Emigracji, ale zaraz też przerzucony do kraju przez emisariuszy i literaturę patriotyczną. Wzorzec zatem księdza Robaka, jednak zeświecczonego: spiskowca, emisariusza, więźnia, oczywiście bohaterskiego (nie wszyscy jednak więźniowie okazywali się bohaterami). Wzór oplakiwanego straceńca, zesłańca, wygnańca — takiego, jakim go ukazała niedawna inscenizacja *Śpiewnika domowego* Moniuszki w Teatrze Narodowym. Legenda żalobnej nieugiętości... I dalsze jeszcze wzorce: Polaka-katolika, o którym tak interesująco pisał przed laty Bohdan Cywiński. Wzorzec wsparty bez kwestii na konkretnych realiach, ale bądź co bądź stereotyp. Można wskazać i inne wzorce: inteligenta-społecznika ze schyłku XIX wieku ... Robociarza-bojowca, ginącego na szubienicy z okrzykiem: Niech żyje rewolucja! I tak dalej...

Schodzimy tu, jak przystoi, na rozpatrywanie społeczeństwa polskiego stosownie do różnicowań klasowych i warstwowych. I w tym zakresie krążyły i utrzymywały się stereotypy pozytywne i negatywne, zrodzone z samookreślenia lub z cudzych obserwacji. Słówko o tych ostatnich. Każda grupa społeczna miała o wszystkich innych określone wyobrażenie — przeważnie niekorzystne. Jak się przedstawiał wielki pan w oczach demokracji? Oczywiście był to pasożyt, sobek, intrygant i kosmopolita. Jak się przedstawiał szlagon w oczach inteligenta? Poczytajmy *Dzienniki* Żeromskiego z okresu, kiedy przebywał po dworach „na kondycji”: obyczajowe zacofanie, fummy, przesady, ani jednej książki w całym dworze, a na dobitkę, zupełne ignorowanie problemów epoki. Jak na odwrót przedstawiał się inteligent w oczach ziemianstwa? Patrzyło się na niego z odcieniem wyższości. O lekarzu mówiło się: konował, o prawniku: kauzypierda, o dziennikarzu: pismak. Miało się to przekonanie, że osobnik nie „z towarzysztwa”, choćby i z uniwersyteckim dyplomem, należy do niższego gatunku ludzkości, który z natury rzeczy niektórych spraw nie pojmuje. Spotkałem się ze zdaniem, i to wypowiedzianym już po drugiej wojnie, żeby napisać dobrą

powieść obyczajową, trzeba urodzić się co najmniej hrabią. Powieść, to jasne, o „dobrym towarzystwie” — i prawda to, że od Tolstoja do Lampedusy dałoby się zacytować dobrze urodzonych autorów dobrych powieści (u nas Weyssenhofa). Pogląd niemniej charakterystyczny.

A chłop w oczach dziedzica? Zacytujmy wypowiedź hr. Kazimierza Wodzickiego z 1869 roku: „Zawsze chłop chudy, ciężki, żyłasty i kościsty. Czy brak mięsnego pożywienia, czy nadużycie alkoholycznej wódki, czy sposób żywienia się, odgadnąć przyczyn nie umiem, zapisuję tu fakt, że zawsze jak kruk chudym jest i szkodnikiem na podobieństwo jego”. Te słowa tchną nie tylko pogardą, ale i głęboką niechęcią podszytą niepokojem, może i zrozumiałym na gruncie galicyjskim, po 1846 roku. I na odwrót, co sądził chłop o dziedzicu, czy o innym „ciarachu”, jak mówiło się wtedy w Galicji? Też można tego dochodzić poprzez analizę niektórych pamiętników chłopskich.

Oczywiście każdy stereotyp dopuszczał wyjątki, w oczach każdego oceniającego. Mówiło się więc, że każdy szlachcic ma swojego dobrego Żyda; zapewne też niejeden inteligent miał swojego zasłużonego, godnego szacunku ziemianina itd.

Ujmując rzecz historycznie, pamiętać także trzeba o ewolucji stereotypów. Weźmy taki przykład, jak ewolucja pojęcia kozaka w Polsce. Co innego oznaczał kozak przed zaborami: nie tylko jako wspomnienie Chmielnickiego, ale i dworskich kozaków; przecie jeszcze w początku XX wieku służba u Potockich w Antoninach wystrojona była po kozacku. Kim innym znów był kozak poetyckiej „szkoły ukraińskiej”, szlachetny i romantyczny, ten, co „na szybkim koniu” pędzi „z wiatrem w zawody” w *Marii Malczewskiego*. Wkrótce potem wspomnienie kozaka skojarzyło się z jedną z formacji wojsk carskich, szczególnie niebezpieczną i dokuczliwą dla powstańców. Podobnie dałoby się wysnuć ewolucję stereotypu Niemca, albo stereotypu Żyda na ziemiach polskich.

Spójrzmy teraz na stereotypy dzielnicowe: będzie o nim mowa w następnych referatach, ale nie mogę pominąć i tego elementu. Być może stereotypy te tkwiły w podświadomości przez cały okres rozbiorów, ale nie ujawniały się w sposób drastyczny, jako że kontakty międzydzielnicowe nie były częste i znało się rodaków zza kordonu raczej na odległość. Zderzenie stereotypów dzielnicowych wybuchło nagle po roku 1918, gdyśmy się wszyscy znaleźli nagle w jednym domu, pod jednym dachem, i zaczęliśmy sobie wzajemnie przyglądać się, i to przyglądać krytycznie. Większość dzielnicowych stereotypów zrodzonych po roku 1918 nasycona była uprzedzeniami. O Poznaniaku mówiło się, że jest Beotą; „Galileusza” określano jako centusia, zmanierowanego biuralistę, w ogóle zaś „Polaka von Austria”. Kresowiak, to naturalnie „żubr” przedpotopowy. Królewski — co powiem o Królewsku? Zacytuję anegdotę mego wuja. Dawno temu mój wuj studiował w Dorpacie, istniała tam zaś naturalnie jakaś Bratnia Pomoc polska. Zdarzył się przykry casus: jeden z kolegów wziął na własne potrzeby pieniądze bratniackie. Zatem sąd koleżeński: oskarżony, oskarżyciel i obrońca. Właśnie mój wuj był obrońcą; opowiadał mi:

— Zastanawiałem się, jakby biednego chłopca wyciągnąć z tego głupstwa? Powiedziałem sądowi: — Cóż wy od niego chcecie? Przecie to Królewski!

Ten argument ponoć poskutkował, jako „okoliczność łagodząca” w stosunku do defraudanta...

Takie to bywały konfrontacje wzorców dzielnicowych na progu Polski niepodległej. Następnie przeżyliśmy dwadzieścia bardzo pięknych lat, pięknych na odległość, bo wówczas przeżywało się je z mieszanymi uczuciami. Wydaje mi się, że były wtedy w obiegu najczęściej stereotypy negatywne. Zaczynając od Marszałka, który nie miał wiele dobrego do powiedzenia o polskim narodzie, a jeśli już coś mówił, to o obwarzanku: że wszystko, co wartościowe w Polsce, mieści się na okrainach, a w środku jest pustka, na której nie sposób polegać. Ale i Narodowa Demokracja ustami Dmowskiego i Balickiego jakże krytycznie wypowiadała się na temat wad narodowych, a zwłaszcza tego zbędnego idealizmu polskiego, nadmiernej szlachetności, a po prawdzie mięczakowatości polskiego charakteru, który raczej winien był się wzorować na narodach twardszych i dzięki temu biorących górę w walce o byt.

Spójrzmy jeszcze na stereotypy funkcjonujące w innych ówczesnych obozach. Ludowcy sprowadzali Polaka do własnej tylko warstwy społecznej. Polska to Lud; co nie jest Ludem, to jest marginesem, który jeszcze zapewne się liczy, ale tak bardzo liczyć się nie powinien. Nie tak bardzo odmienną jednostronność odnajdujemy w ruchu robotniczym, zarówno w PPS, jak i wśród polskich komunistów.

Dorzućmy jeszcze negatywny stereotyp, zrodzony w środowisku intelektualnym, utrwalony w powiedzeniu Tuwima o „strasznych mieszczanach” — ci rzeczywiście w oczach liberalnego inteligenta zdawali się czymś dość okropnym. Tak więc nie byliśmy sobą nadmiernie zachwyceni w latach międzywojennych, niezależnie od tego, co się wtedy rozpisywało o rzeczywistych, a czasami trochę rozdętych osiągnięciach tamtego okresu.

Potem zaś przyszła wojna, przyszła katastrofa i kilka bardzo ciężkich lat, które ponownie stały się dla nas wszystkich źródłem samouwielbienia. Bo wtedy, na progu zagłady, jakoś wyrosliśmy we własnych oczach: jako „sumienie świata”; jako ten naród, który „nie wydał Quislingów”; jako ten, który znajdował dziesiątki i setki sposobów otwartego i ukrytego przeciwstawienia się przemocy, który także wycierpiał więcej niż wiele innych narodów, a przecież „nie dał się”; który w końcowym akordzie gotów był własną stolicę pogрузić w ruinie, w imię, jak wiemy, błędnej rachuby politycznej, ale także bohaterskiego gestu. W wyniku czego wyszliśmy z owej gruntownie zrujnowani, zwycięscy (w cudzysłowie) i bardzo dumni z siebie.

Otóż więc weszliśmy w nowe państwo, nowe granice, nowy ustrój społeczny — i w nowy okres samouwielbienia, tylko z inaczej trochę rozstawionymi akcentami. Istniało bowiem samouwielbienie w wersji urzędowej, tudzież w wersji opozycyjnej, czy kontestacyjnej. Dwie wersje mało pokrywające się ze sobą; jak mi się zdaje, jedna i druga wersja okrywała określone kompleksy, nasze niedociągnięcia, kłopoty i dylematy. Takeśmy z tymi zmiennymi stereotypami doszli do chwili bieżącej i już nie będę, w myśl sugestii Pana Przewodniczącego, zastanawiał się nad stereotypami, jakie obiegają dzisiaj, albowiem każdy z Państwa ma tu na ten temat swoje zdanie.

Zatem, jakże tu zmierzać ku konkluzji i czy jakakolwiek konkluzja da się

sformułować po tylu znakach zapytania? Skąd miałby się brać jednolity charakter narodowy, jeżeli takowy istnieje: z cech wrodzonych, czy z cech nabytych? Zastanówmy się, czy są do pomyślenia u nas jakoweś geny „charakterologiczne”, przy naszym tak daleko idącym przemieszaniu narodowości i kultur rozmaitego pochodzenia. Sam osobiście wśród swoich przodków wstępnych odnajduję przedstawicieli sześciu różnych narodowości; o tylu wiem, być może poszukawszy, znalazłbym ich jeszcze więcej. Podobnie rzecz się mieć może z wieloma spośród nas. A zatem, jeżeli raczej nie powinny wchodzić w grę geny, byłybyż to warunki przyrodzone? Historyk chętnie stwierdzi, że zostaliśmy ukształtowani przez historię. To założenie jednak nie wystarcza, trzebaż jeszcze próbować określić, w jaki sposób zostaliśmy ukształtowani. Nad tym ostatnim problemem historycy nasi mało dotąd się zastanawiali. Większość spośród nas historyków zajmuje się przebiegiem wydarzeń, źródłami tych wydarzeń, podłożem gospodarczym, nadbudową kulturalną itd. Lecz w jaki sposób owa baza i nadbudowa, ludzie wielcy i mali wpływali na społeczeństwo, na jego usposobienie, na charakter narodowy, a choćby tylko na zmienne stereotypy, o których tu była mowa, tego sobie dotąd nie bardzo umiemy uświadomić. A właśnie uświadomienie sobie tego, jak nasza własna historia wpływa na przemiany charakteru narodowego, czy też poglądów naszych na charakter narodowy, zdaje mi się sprawą dość ważną. Mogłoby stanowić krok ku bardziej świadomemu naszemu kształtowaniu historii bieżącej, naszych własnych losów w dniu dzisiejszym. Dlatego mimo wszystkich sformułowanych zastrzeżeń ośmielam się żywić uncję (po polsku „łut”) nadziei co do celności i przydatności naszego zebrania. Może ze sprzecznych i krzyżujących się zdań wyłoni się nie tylko promień światła skierowany na naszą przeszłość, ale i dobra rada na chwilę bieżącą czy chwilę jutrzejszą.

Druk: 1984, nr 1—2, ss. 5—12.